№ 34. Warszawa, dnia 10 (22) Sierpnia 1888 r. Rok XXIV.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

ZE SPUŚCIZNY OLBRZYMA.

(„Cała Lira" Wiktora Hugo).

napisał

MIRIAM.

...Mon âme aux mille voix que le Dieu que j'adore
Mit au ventre de tout, comme un écho sonore.
V. Hugo: Les Feuilles d'automne.
Come quercia druidica sta il tuo fatal lavoro.
Biancovestite muse taglian con falce d'oro
Del sacro visco il fior.
Giosuè Carduci „A Vittore Hugo."

I.

„Duch ludzki ma szczyt. Szczytem tym jest ideał. Bóg nań zstępuje, człowiek nań się wdziera.

„Co stulecie trzy lub cztery geniusze próbują się tam dostać. Z dołu tłum bacznie ich śledzi. Ludzie ci wstępują na górę, wchodzą między chmur zasłony, znikają, zjawiają się znowu. Tłum wypatruje oczy za nimi, obserwuje ich nieustannie. Idą nad przepaściami; krok fałszywy spodobałby się może niejednemu widzowi. Awanturnicy rzucają się ich śladem. Oni już wysoko, oni już daleko; punktami już tylko wydają się czarnemi. Jacy oni mali!—powiada tłum. To są olbrzymi. Idą. Droga jest przykra. Strome urwiska bronią przejścia. Na każdym kroku mur, na każdym kroku zasadzka. W miarę wstępowania w górę zimno się zwiększa. Trzeba budować sobie schody, przerąbywać w lodzie przejścia, wyciosywać stopnie w głazie nienawiści. Burze szaleją dokoła. Ci waryaci jednak wędrują dalej. Rozrzedzonem powietrzem niepodobna już oddychać. Przepaście mnożą się dokoła nich. Kilku pada: dobrze. Inni zatrzymują się i schodzą z powrotem; daje się uczuć posępne znużenie. Nieustraszeni idą dalej; wybrani nie cofają się. Na zawrotnym stoku grunt obrywa im się pod nogami, chce w dół ich pociągnąć; sława okazuje się zdradziecką. Orły na nich patrzą, błyskawice o nich się ocierają, wściekłość huraganu wzrasta. Mniejsza o to: nic nie złamie ich oporu; wdzierają się wyżej. Ten, który dojdzie do szczytu, jest równym tobie, Homerze!"

Tak—we wzniosłym swym dytyrambie na cześć najświętszych ideałów ludzkości, ochrzczonym imieniem jednego z najpotężniejszych duchów: Wiliama Shakespeare'a [1])—malował Wiktor Hugo w r. 1864, patrząc na ocean, drogę geniuszów. Patrzył z wysepki Jersey, miejsca wygnania swego, na bezgraniczną wód przestrzeń—i zdało mu się, że patrzy w tajemnicze głębie duchowe tych olbrzymów, co, jak pochodnie wiekuiste, świecą nad całym szlakiem pochodu ludzkości.

„Bo też"—powiada w innem miejscu tejsamej książki [2])—są istotnie ludzie-oceany.

„Te fale, te przypływy i odpływy, ta ruchliwość straszliwa, ten łoskot od wszyskich podmuchów, te czarności i te przejrzystości, ta wegetacya właściwa otchłaniom, ta demagogia chmur w pełni uraganu, te orły w pianach morskich, te przecudne wschody słońc, odbite w tajemniczym nieładzie przez miliony szczytów jaśniejących, tych niewyraźnych głów niezliczoności, te olbrzymie pioruny błędne, zdające się czychać na coś, te łkania ogromne, te potwory spostrzegane, jakby przez mgły zasłonę, te noce ciemności nieprzejrzanych, przerywane ryki straszliwemi, te furye szaleństwa, te burze, te skały, te rozbicia, te roztrącające się wały, te grzmoty ludzkie pomieszane z grzmotami boskiemi, ta krew w przepaści; i znowu te powaby, ta słodycz, te święta radosne, ta weselna białość żagli, te statki rybackie, te pieśni śród huku bałwanów, te przystanie wspaniałe, te dymy od lądu, te miasta na widnokręgu, ten błękit głęboki wód i nieba, ta cierpkość użyteczna, ta gorycz oczyszczająca wszechświat, ta sól przykra, bez której wszystkoby gniło; te gniewy i te uciszenia, ta wszystkość w jedności, to niespodziane w niewzruszonem i niezmiennem, ten nieogarniony cud jednostajności nieskończenie urozmaiconej, ta gładka toń po tem rozhukaniu, te piekła i te raje w wiecznie drgającącej niezmierzoności, ta nieskończoność, ta niezgłębioność—wszystko to może istnieć i w duchu ludzkim, i wówczas duch ten zwie się geniuszem, i mamy Eschylosa i mamy Izajasza, i mamy Juwenala, i mamy Danta, i mamy Michała-Anioła, i mamy Shakespeare'a—i wszystko jedno: patrzeć na te dusze, czy patrzeć na ocean."

W ostatnich czasach miniona, a pamiętna do dziś i blaskiem swym przyćmiewająca twórczość nam współczesną, epoka romantyzmu dała ludzkości cały szereg takich wielkich, słonecznych duchów, o orlim skrzydeł polocie, o głębi i niezmierzoności oceanowej. Pocóż wymieniać imiona? Jakby ognistemi zgłoskami wypisane, świecą one w pamięci każdego, a pewna nieufność względem poezyi dzisiejszej jest skutkiem olśnienia, jakiego doznała ludzkość, słuchając gwałtownych, namiętnych, a zarazem głębokich, niebo i ziemię ogarniających, przed nieskończonością się niecofających słów tego wspaniałego zastępu ognistych duchów, któremu historya literatury nazwę tworów szkoły romantycznej nadała. Cokolwiekbądź z punktu widzenia krytyki dzisiejszej zarzucić-by można romantyzmowi, przyznać należy, że miał on niezmierzone widnokrę-

1) William Shakespeare, livre II, 2, p. 31 (ed. Libr. Intern. Paris, 1869).
2) Ib. p. 5.

gi, że dążył śmiało i z zapałem ku temu szczytowi, co ideałem zwie się, i nigdy go z oczu nie tracił. Romantycy nie mierzyli nigdy zamiaru podług sił, lecz zawsze siłę na zamiary; nie ograniczali przestrzeni dla lotów swych: dziedziną ich była nieskończoność. Ale też w owej epoce rozpędu szalonego skrzydeł nieladajakich trzeba było. Drogi były wielkie, lecz i ślizkie zarazem. Talenta pomniejsze, tracąc oddech w bezgranicznych tych przestworach, łatwo nader w rozpadliny maniery wpadały i, przelotnem tylko ciesząc się uznaniem, całą wartość następnie w potomności traciły; genialne za to duchy, w niezmierzoności tej nowe, nieznane torując sobie szlaki i obejmując myślą i sercem wszechświat cały z najnierozwiązalniejszemi, sfinxowemi bytu zagadkami, tworzyły te uniwersalne, wszechświatowe i wszechwiekowe arcydzieła, które nazawsze ludzkości, w ciężkiej jej drodze, jako latarnie przewodnie świecić będą. Jak ocean cały glob ziemski z lądami, wyspami i wszystkiem, co się na nich znajduje, srebrnemi opasuje ramiony i nawet niebo w łonie swem odbija, tak owi wieszcze-myśliciele objęli duchem wszystko, co człowiek ma w sobie i wokoło siebie, streścili w dziełach natchnienia swego jego radości i bóle, porywy i zwątpienia, wzloty i upadki, dali wyraz naidealniejszym jego aspiracyom—i postawili takich *Faustów*, *Manfredów*, *Konradów*, *Prometeuszów* i t. d., jakby wielkie drogowskazy na szlaku postępu i dążenia do doskonałości.

Do liczby takich wieszczów-oceanów należy bez zaprzeczenia (zaprzeczą chyba ci, którzy dział jego nie czytali i tylko z szablonowych recenzyi i wzmianek dziennikarskich coś o nim wiedzą) Wiktor Hugo, to ostatnie, a przynajmniej najpóźniej zgasłe, wielkie słońce romantyzmu europejskiego, ten gigantyczny posąg, stojący na pograniczu dwóch wieków, z olimpijskiego czoła którego strzelają, i długo strzelać będą, ogniste blaski najczystszego ideału, niezłomnej wiary w dobro i jego zwycięztwo. Ogarnął on potężnym duchem swym świat wszystek, zawarł w olbrzymiej pieśni swej, co, jak wspaniała, spływająca z gór rzeka, wszystko nurtem swoim porywa,—uczucia, pragnienia i dążenia ludzkości całej, stał się żywym wyrazem najidealniejszego postępu; we wszystkie struny liry uderzył i z każdej harmonijny dźwięk dobył. *Homo sum*—mógł o sobie powiedzieć, w najwyższem, najszlachetniejszem znaczeniu, jakie słowu temu nadać możemy; nic, co się człowieka i jego lepszej, doskonalszej tyczy przyszłości, obce mu nie było, a choć czasem podlegał ułomnościom, bądź hasłom stronnictw, bądź resztkom starych przesądów, skazy te maleją, nikną wobec dokonanego dzieła, wobec tego wielkiego życia, poświęconego najwyższym ideałom ludzkości: dobru, wolności i pracy—i słusznie woła Carducci:

Passan le glorie come fiamme di cimiteri,
Come scenari vecchi crollan regni ed imperi:
Sereno e fiero arcangelo move il tuo verso e va.
Canta a la nuova prole, o vegliardo divino,
Il carme secolare del popolo latino;
Canta al mondo aspettante Giustizia e Libertà [1]).

„Uniwersalność“—powiada Jarosław Vrchlicki, jeden z najlepszych znawców dzisiejszej poezyi francuzkiej — jest wybitnem znamieniem geniuszu Wiktora Hugo. Liryk czasów dzisiejszych, głęboki i marzący, podaje w nim rękę epikowi, zatapiającemu się w przeszłość; powieściopisarz spotyka się z dramaturgiem, a obaj pełni są olśniewających effektów; chłostający, karzący satyryk kroczy obok rozognionego trybuna ludu; apostoł wolności i miłości przemawia przez usta filozofa. Uniwersalność ta ma jedną właściwość, przed którą ukorzyć się musi nawet mierność: jest ona we wszystkiem wielka, dążąca zawsze w górę, obejmująca wszystko. W tym kierunku jest Wiktor Hugo istotnie syntezą całego szeregu geniuszów poetyckich: ma szerokość epicką Homera i polot Jana Ewangelisty, ma głąb' Izajasza i pesymizm Hioba, ma grozę Danta i gniew Juwenala, ma uśmiech Wergiliusza i śmiech Rabelais'go, ma w mocy swej zorzę i błysk piorunu, zmrok i ciemność; owładnął całą sztuką poetycką, z równą dzielnością we wszystkich jej zakresach, a przytem wszystkiem ma coś swego osobistego, jemu tylko właściwego: niedoścignione mistrzowstwo łączenia najrozmaitszych tonów w jednę, wspaniałą, harmonijną całość. Inni poeci przed nim są wielcy i wspaniali zawsze tylko w szczegółach (z wyjątkiem jednego snadź Shakespeare'a, który zostanie z i nnych względów, głównie jako niezrównany znawca duszy ludzkiej, niedoścignionym królem duchów)—Hugo jest wielki w całości. Wybuchy Eschylosa i Danta są olbrzymie, ale odosobnione; wybuchy Wiktora Hugo są równie silne, ale potężniejsze przez to, że otwierają zawsze nowe perspektywy. On nie zadawalnia się odmalowaniem rzeczy—ta jest dlań zawsze tylko symbolem idei—i perspektywa, czy to w głąb' świata etycznego, czy historycznego otworzona, jest zawsze wspaniała i porywająca. Jako liryk, ma na lirze swej wszystkie struny—od pierwszych drgnień miłości aż do namiętności płomiennej, od nieśmiałej tęsknoty aż do zadumy głębokiej, od pierwszego pytania budzącego się sceptyzmu aż do bolesnego wykrzyku rezygnacyi rozpacznej. Skrzydła ducha jego rozpościerają się w tym kierunku tak szeroko, że obejmują wszechświat od prawieków, przez starożytność klassyczną, aż do epoki współczesnej. Jest to liryk κατ' εξοχην. Może jego powieści większą sławę mu dały, może jego działalność krasomówcza i polityczna słynniejszym go uczyniła, w liryce przecież —rzecz pewna—stoi on najwyżej, jest tutaj przepotężnym władcą na Parnasie całego świata i największe współczesne duchy liryczne, Swinburne i Carducci, składają u nóg jego otwarty hołd nieskończonego podziwu.“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

1) „Przemija sława wszelka, jak błędny ognik cmentarny, jak stare dekoracye rozpadają się państwa i trony: jasny i dumny archanioł z twych wierszy pogrzmiewa wciąż. Śpiewa nowym pokoleniom, o starcze boski, śpiew jubileuszowy łacińskiego plemienia; śpiewa patrzącemu nań światu o Sprawiedliwości i Wolności.”

WYCHOWANIE MORALNE.

(Dokończenie.)

Kara cielesna względem dwuletniego dziecka ma zapobiedz uporowi i nieposłuszeństwu; jeśli jednakże stosowana będzie za często, bez należytego stopniowania, niesprawiedliwie, przyczyni się do wzmocnienia lub wytworzenia tych wad, z czasem przyzwyczai się przytem do niej dziecko do tego stopnia, że nawet później okazać się już może potrzebną, a tego starannie unikać należy Chłopiec bity aż do ósmego roku życia traci ambicyą, rozwija w sobie złe instynkta, nie nabiera uczuć moralnych. Sam katowany, staje się również okrutnikiem. Kara cielesna może być naturalną i właściwą względem dziecka starszego w jednym tylko razie: jeśli skrzywdzi cieleśnie słabszego od siebie rówieśnika; należy wszelakoż zbadać rzecz dokładnie; bardzo bowiem to być może, iż pierwotnym winowajcą był pokrzywdzony.

Należy przestrzegać, by dziecię nie nadużywało sił swoich względem słabszego, nietylko dziecka, ale również i źwierzęcia. Dobrze to bardzo, jeżeli wychowaniec posiada jakie źwierzątko przyswojone lub domowe, lecz niech dba o nie, niech go nie męczy pieszczotami, często nader bolesnemi, niech nie experymentuje nad niem. Nie wolno podsycać chorobliwej sentymentalności w stosunku ze źwierzętami, przestrzegać wszelakoż należy, by dziecię nie nawykało do okrucieństwa, do znęcania się nad źwierzętami. W tym celu potrzeba starannie usuwać to wszystko, co rozwojowi okrucieństwa sprzyjać może.

Współczucie stanowi jednę z podstaw etycznych uczuć, powstaje zaś skutkiem przyjaznych okoliczności. Wychowawca winien je rozwijać staranie. Niech dziecię wcześnie nawyka do odczuwania cierpień cudzych i do łagodzenia ich. Grosz dawany dziadkowi z polecenia starszych jeszcze nie rozbudzi współczucia: należy, by dziecko zamożne widziało nędzę zbliżka, przejęło się litością, a następnie dopomagało kosztem własnej przyjemności. Nie można żądać rzeczy zbyt trudnych np., żeby wtedy, kiedy jest bardzo głodne, oddało śniadanie ubogiemu; powoli wszakże, przy umiejętnem kierownictwie, zdoła dziecię poświęcić siebie dla innych. Niech dziecko nawyka od lat najmłodszych do świadczenia usług swoim rówieśnikom. Każde wyręczenie, każde poświęcenie się jednego z rodzeństwa dla drugiego, należy uznać i popierać. Niech dziecko przyzwyczai się do dobrych uczynków, a wtedy moralne postępowanie stanie się dlań nałogiem. Ważny czynnik etycznego postępowania, poczucie obowiązku, wynika również z przyzwyczajenia. Trzyletnie lub czteroletnie dziecię, które zmuszone zostało do porządkowania swoich zabawek, do stawienia się na każde zawołanie rodziców lub niańki, następnie w ósmym roku życia już nawyknie łatwo do regularnych zajęć szkolnych i do posłuszeństwa względem starszych, sumienny zaś uczeń stanie się następnie sumiennym pracownikiem. Przedewszystkiem należy przyzwyczaić dziecię do pewnych codziennych obowiązkowych czynności, od którychby nic go uwolnić nie zdołało. Dalej baczyć potrzeba, by czynności te wykonane były dokładnie, nie byle zbyć. Weźmy przykład: trzyletnie dziecię pragnie pobiegać na dworze; nie pyta się wszakże o pozwolenie rodziców, dopóki nie uprzątnęło zabawek, wie bowiem z doświadczenia, że tego od niego zażądają. Dziewięcioletnie dziecko pragnęłoby jaknajprędzej ukończyć zadaną lekcyą, pisze pośpiesznie, zatrzymuje się jednak, gdyż wie, że niedbałą pracę będzie musiało powtórzyć, przez co pobyt jego w pokoju się przedłuży.

Tak prowadzone dzieci będą spełniały nałogowo powinności swoje; każde uchybienie przeciw nim spowoduje nieokreślony niepokój, niesmak i niezadowolenie z siebie, a więc karę naturalną, działającą bezwarunkowo poprawczo; zrobią to wszystko, co im każą wychowawcy, nie zastanawiając się nad przyczyną rozkazu i skutkiem nieposłuszeństwa, zrobią, bo inaczej być nie może, bo tak postępowały wczoraj, onegdaj, zawsze, jak tylko pamięcią zasięgnąć mogą. Wszelkie zalety indywidualne tworzą się i rozwijają pod wpływem okoliczności i skutkiem nawyknienia. Tak np. oszczędnem będzie według wszelkiego prawdopodobieństwa to dziecię, któremu już w pierwszych latach życia nie pozwolimy rzucać chleba na podłogę, plamić odzieży, niszczyć zabawek i sprzętów i t. p.

Wola dobrego i złego zależy od uczuć i od rozumowania. W pierwszych latach dzieciństwa nie istnieje ona prawie wcale, składa się bowiem wtedy tylko z krótkotrwałych, nieświadomych chceń, powstałych z pobudek zewnętrznych lub wewnętrznych. Zadowolenie źwierzęcej potrzeby pociąga dwuletnie dziecko do uczynku, a bojaźń je powstrzymuje. Np. widzimy dziecko nad cukiernicą chwyta kawałek cukru, ogląda się jednakże, azali nie jest widziane: nie rozumie ono wcale, że postępuje źle, lecz kojarzy tylko w tej chwili z cukrem wspomnienie, z jednej strony przyjemnego ściągnięcia nerwów ustnych, z drugiej klapsa; od siły i świeżości jednego z tych wyobrażeń będzie zależał uczynek naszego dziecka. Wola dzieci starszych zależy w znacznej części od siły przyzwyczajenia w walce z pokusą; jest ona świadoma, polega bowiem na rozumowaniu. Siedmioletni chłopiec utworzył już sam dla siebie pewien kodex moralności; jeśli wykroczy przeciw niemu, to z całą świadomością, wskutek błędnego rozumowania lub też wielkiej siły pokusy. Pragnąc wzmocnić wolę wychowańca, należy nietylko rozwinąć uczucia do dobrego skłaniające, lecz także wytknąć im pewien cel i poprzeć go rozumowaniem.

Wychowaniec nasz powinien dążyć do dobrego dlatego, że: 1) skłaniają go ku temu uczucia

szlachetniejsze, przywiązanie do najbliższych, współczucie i poczucie obowiązku, 2) że zwycięztwo nad własną namiętnością przyjemność sprawia, 3) że uczynek dobry można usprawiedliwić i umotywować rozumowo. Rozwijajmywięc nietylko dobre uczucia wychowańca, lecz uczmy go także wychodzić zwycięzko z walki z namiętnością, poskramiać gniew i pożądliwość. Przykład własny wychowawcy znaczy tutaj bardzo wiele; potrzebne jest wszakże pewne rozumowanie, mogące służyć za hamulec przy wybuchu namiętności. Są dzieci, z któremi można wszystko zrobić, działając na uczucie; są wszelakoż i takie, u których do rozumu również odwołać się potrzeba. We wczesnym wieku rozumowanie w kwestyach moralnych jest i niemożliwe i niepotrzebne, w późniejszym wszelakoż staje się koniecznością w wielu razach. Istnieją wprawdzie wymagania w etyce dziecinnej, którym zadosyć uczynić najłatwiej przez nawyknienie; istnieją jednakże i inne, które na zasadzie rozumowej wyłącznie oprzeć można, np: dlaczego pewne nałogi właściwe są dla dorosłego, a niestosowne dla dziecięcia? Dalej trzeba, by dziecię przyjęło w siebie pewne zasady moralności na później, ażeby w tych razach, gdy chaos uczuć nie pozwala na akt woli, rozumowanie odegrało rolę decydującą. Nareszcie należy ostrzedz dziecię, zwrócić jego uwagę na niektóre niebezpieczeństwa, jakie mu grożą. W końcu, jeśli dziecko zbłądzi, to nawet w tych razach, gdy na uczucie działać trzeba, wypowiedzenie pewnej prawdy moralnej jest nieodzowne. Zachodzi teraz pytanie: kiedy mamy przemawiać do dziecka w celu etycznym—czy przy nadarzonej sposobności, czy też systematycznie, według pewnego planu? Sądzimy, że jedno i drugie jest potrzebne dla względów wskazanych powyżej. Długie morały będą zawsze bezskutecznemi, kilka wszakże słów serdecznie i trafnie wypowiedzianych wiele zdziałać może. Sucha, dogmatyczna nauka moralności tylko zniechęci dziecię; ożywiona przykładami, prowadzona początkowo w związku z nauczaniem języka ojczystego, może przynieść pożądane owoce. Dla dzieci od lat 8 do 12 najstosowniejszy materyał stanowią powiastki dziecinne, przysłowia, bajki Jachowicza; dla starszych—bajki i powiastki Krasickiego, allegorye, przysłowia, dla dorastających—zdania wielkich moralistów i filozofów, oraz odpowiednie rozprawy znakomitych pisarzów.

Nauczanie moralne niech stanowi uzupełnienie praktyczne religijnego, opartego na Piśmie Św. i Nauce Kościoła.

Waldemar Osterloff.

NA KRASNYM DWORZE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów pobytu w Kijowie Bolesława Śmiałego

napisał

Fr. RAWITA.

(Dalszy ciąg).

Bolesław do Izasława się zwrócił.

— Niedługo pewnie chcesz siedzieć w Kijowie — rzekł — kiedy im zemstę obiecujesz. Zaproszą cię dziś, a jutro znowu wypędzą. Nie znasz chyba ludu; dla niego niéma polityki: on za miłość płaci miłością, za nienawiść nienawiścią. Przycicha z konieczności, a potem mruknie poswojemu.

Izasław uczuł się nieco urażonym.

— Nie znasz, miłościwy królu, naszego ludu, znasz swój. U nas inaczej: my gębę ludowi zamykamy mieczem i kogo się on boi, tego słucha.

— Pocóż ma słuchać, kiedy się boi: niech słucha, kiedy miłuje.

Kniaź uśmiechnął się.

— Widzisz, królu, jak on miłuje: pół roku nie ma, jak wypędził mnie, a dzisiaj prosi. Wypędził, bo zdawało mu się, że go Wszesław obroni, a kiedy Wszesław uciekł,—bije pokłony i o łaskę prosi....

— I musisz mu dać przebaczenie i łaskę. Nie zapominaj o tem, że bojarów i drużyny masz mało, a ludu moc. Trzeba lud szanować, bo to nasza siła.

Izasław zamilkł i coś ważył w myślach.

— Nie mogę im przebaczyć—rzekł po chwili—jeśli przebaczę, powiedzą, że się lękam; spokoju mieć nie będę.

Bolesław przerwał mu w mowę.

— A jeżeli się zemścisz, prawda, łatwiej upokorzysz, ale w cichości złe zamiary i odwet uknują, i wyczekiwać tylko będą sposobnej pory. Natury ludzkiej nie odmienisz—i nie uzyskasz znowu spokoju. Jabym się nie ludu lękał, bo lud żąda tylko prawdy i sprawiedliwości: uspokoić go można, a z nieprzyjaciela będzie ci druhem; ja-bym się lękał na twojem miejscu brodaczów z drużyny i tych, co chodzą w safianowych butach i w złotem szytych kaftanach—tych gardzieli nie napchasz nigdy: oni mają siebie za siłę, chcą dzielić z tobą władzę, a zapomnieli o tem, że siła i władza dane na to, aby bronić słabych i bezbronnych.

Myśl tę Izasław zrozumiał poswojemu i zdało mu się, że go Bolesław zachęca do wykonania zemsty na możnych, którzy przeciwko niemu lud podnieśli i księztwa go pozbawili. Powoli więc zreflektował się i ochłonął.

— Muszę przynajmniej kilku ukarać, choćby dla przykładu.

Zawołano znowu posłów do namiotu.

Izasław nachmurzonem okiem powiódł po zgromadzeniu.

— Radziłem się z moim krewnym i przyjacielem — rzekł i ręką pokazał na Bolesława — on was żałuje....

Posłowie pokłonili się przed Bolesławem.

— Przebaczam wam — wówił kniaź groźnie— ale winnych muszę ukarać...

— Wola twoja, miłościwy kniaże — odrzekł Warażko — ale bądź ojcem łaskawym dla winnych; szatan opętał ich dusze, że śmieli głos i ręce podnieść na ciebie...

Pokora posłów dobre robiła wrażenie.

— Przebaczę wszystkim, oprócz najwinniejszych, ale nie wstąpię do grodu ojca mojego, póki winni ukarani nie będą, bo inaczej spokoju, ani wam, ani mnie nie będzie. Niech w porubie i monasterach sterają swoje lata, jak Sudysław, to dzieci ich i wnuki nauczą się szanować prawowitych kniaziów. Ja nie będę sam kary wymierzał, abyście nie powiedzieli, że pragnę zemsty, a nie sprawiedliwości. Poślę do Kijowa syna mego Mścisława: niech dokona sprawiedliwości, a wtenczas wrócę do was z drużyną.

Posłowie pokłonili się na znak zgody.

— Rób, kniaże, tak, aby lud nasz błogosławił ciebie, a nie przeklinał. Zgadzamy się na to, co mówisz: poślij Mścisława, niech ukarze winnych, ale niech niewinnych poszanuje, kiedy już nie chcesz być jednakowo miłosiernym dla wszystkich; wolę twoję zaniesiemy Kijowianom. Ale, miłościwy kniaże, uczyń jeszcze zadość jednemu żądaniu: odpraw drużynę lacką do domu.

— Nie — odrzekł Izasław — tego uczynić nie mogę. Król Polski jest mi powinowatym, w czasie tułactwa mego, zdala od domu, był mi druhem i doradzcą, a drużyną swoją pomagał do odebrania udziału z rąk nieprzyjaciół: na ziemi więc ojców moich jest moim gościem; kiedy dzielił trudy moje, niechże dzieli i radość.

— Miłościwy kniaże — zabrał znowu głos Warażko — pocóż masz lacką drużynę prowadzić do grodu? Lud nie uspokoi się, póki bać się będzie.

— Trzeba, aby się uspokoił. Pod mądremi rozkazami Króla Polskiego lacka drużyna nic złego wam nie uczyni; ale niech ją widzą Kijowianie i niech wiedzą, że obok siebie mam przyjaciół, którzy bronić mnie będą.

Łatwo posłowie zrozumieli obawy Izasława, i już więcej nie mówiono o Lachach; trzeba było nieproszonych gości w murach swoich powitać— wolą-niewolą.

Stanęło na tem, że Mścisław miał pojechać z małym orszakiem do Kijowa i zrobić sąd na winnych zaburzeń i ucieczki Izasława, a potem dać znać do obozu, że gród uspokojony i upokorzony gotów bramy otworzyć.

Wracali więc posłowie z niewesołą wieścią: nielubionego kniazia trzeba było do grodu wpuścić, jak wilka w owczarnię, ale i przyjąć go z honorami! Jadąc tedy rozmawiali ze sobą.

— Prowadzi Bolesława! — czemuż nie ma prowadzić? Będzie karmił nieprzyjaciół naszym chlebem...

— To król niemalowany... Będzie nowa bieda! Kniaź niedaremnie obcą drużynę prowadzi ze sobą...

Warażko jechał zamyślony.

— Pewnie nie po to, aby się nam krzywda działa — zauważył. — Nie krzywdzi król ludu u siebie, i tu nie będzie... nie jego trzeba się nam lękać, ale tego rudego brodacza!

— Oj nie, posadniku! drżą od jego mocnej ręki Niemcy: i nam będzie bieda.

— Niemcy to rzecz inna, a my—inna. Tacy my Polanie, jak i oni... Słyszałeś, co król o ludzie mówił—ten chwost zajęczy Izasław tylko wąsem ruszał...

Nazajutrz rano miał Mścisław wyruszyć. Kiedy orszak do pochodu był gotów, Izasław zawołał do siebie syna.

— Ty na to wszystko, co mówi Bolesław, nie bardzo zważaj... nie jemu panować na Rusi, lecz mnie i tobie. Winnych ukarać trzeba, wszystkich, do jednego... i tego starego psa Kośniaczka nie pożałuj: niechaj pamięta, że kniaziom i ludowi nie można służyć jednocześnie! Tego musisz najpierw uspokoić, bo póki żyje Kośniaczko, ani ja, ani ty długo w Kijowie popasać nie będziemy.

Z takiemi radami wyprawił syna. Kijowianie otworzyli mu bramę do miasta.

Pierwszą rzeczą Mścisława było osadzić swoją drużyną Złotą Bramą, Lacką i Kożemiacką, a następnie zażądać, aby Kijowianie broń złożyli. Łatwo to uczynili, bo posłowie treść rozmowy swojej z Izasławem powtórzyli im na wiecu. Wnet po przybyciu Mścisława rozpoczęła się krwawa uczta.

Nikt z ludu, powagą czy mieniem wybitniejszy, nie uszedł kary, czy był winnym, czy nie. Jeśli miał powagę, karał go Mścisław, bo lękał się skrytego nieprzyjaciela; jeśli miał mienie, karał, by wypróżniony skarb kniaziowski zasilić. Tak wykonywał sprawiedliwość.

Przyszła kolej na wojewodę Kośniaczka.

Stary wojewoda oczekiwał tej kolei spokojnie. W choromach jego panawała taka cisza i smutek, jaki bywa zwykle zwiastunem nieszczęścia. Każdy widział, co się dzieje wokoło, i lada chwila spodziewał się nowej sceny dramatu odegranej we własnym domu.

Rankiem siedziała Luda przy ojcu i rozmawiała cicho, jakby się lękała czegoś.

— Czem to się wszystko skończy, mój ojcze?

— Bogu wiadomo...

Luda przytuliła się do ojca trwożliwie.

— Teraz w grodzie, jak na pobojowisku jakiem... gdzie spojrzysz—trupy, zkąd głos doleci— to płacze i jęki, płacz rodziny, jęk niedobitych... a kruki stadami latają i kraczą...

— Bóg widać na pokaranie nas nieszczęścia zesłał, Bóg i odwróci, moje dziecko.

W tej chwili dało się słyszeć z okienka w bramie wołanie:

— Otworzyć bramę! Poseł od księcia Mścisława!

Dano znać wojewodzie. Stary pomyślał chwilkę, potem spokojnie pocałował w głowę przytuloną do jego piersi Ludę i rzekł pachołkowi:

— Otworzyć i posłów do grydnicy prosić.

Luda objęła za szyję ojca i błagalnie prosiła:

— Nie idź, ojcze, nie idź... ten poseł jakieś nieszczęście nam przynosi...

Wojewoda pogładził Ludę po twarzy.

— Nie bój się, dziecko moje, nie spotka mnie już największe nieszczęście—niesława.

Powolnym krokiem wyszedł z górnicy córki.

Tymczasem w otwartą bramę wjechał zbrojny orszak kilkunastu drużynników Mścisława; zaledwie Kośniaczko ukazał się na runduku, domyślił się, jacy to byli wysłańcy kniazia. Jeden z przybyłych zbliżył się do niego hardo:

— Kniaź przysyła po ciebie, wojewodo—rzekł, i prosi, abyś przyszedł na ucztę na kniaży dwór...

Przez okienko wyjrzała Dobromira i w ręce z przerażenia klasnęła.

— Sławosza! — krzyknęła.

W głosie jej brzmiała jakaś trwoga i rozpacz prawie, jakby to imię zwiastować miało nieszczęście. Pośpiesznie na dół zbiegła.

Wojewoda badawczym wzrokiem rzucił na cały orszak, który miał nadto wyzywającą postawę.

— Dobrze — odrzekł spokojnie. — Wnet wam służyć będę, zajdę tylko do górnicy i wezmę miecz i kołpak.

Naczelnik orszaku, ów Sławosza, którego się Dobromira przestraszyła, uśmiechnął się złośliwie.

— Nie trzeba, wojewodo—rzekł—do tańca należy i kołpak zdjąć i miecz odpasać...

— Nie ubieraj się do kniazia—żartował inny—kniaź nasz dobry, obdaruje ciebie pawołoką i sobolami...

Sławosza skinął głową na orszak; w tej chwili przystąpiło do Kośniaczka dwóch mocnych koniuchów i pod pachy go wzięli, ciągnąc ku sobie.

— Chodź, wojewodo... koń dla ciebie już osiodłany.

Wojewoda spojrzał na nich wzrokiem pogardy, ale nie opierał się.

— Dziej się wola boża... Wiem na jaką ucztę prowadzicie mnie. Pochyleniem głowy dał jakiś znak Dobromirze.

Luda, patrząc z góry przez okienko, nic nie widziała; scena powyższa odbywała się tuż koło runduku, którego dach zasłaniał rozmawiających; dolatywały tylko do jej uszu głosy szyderstwa, miotane staremu wojewodzie. Posłuszna woli ojca siedziała w górnicy, drżąca i zapłakana.

Dobromira stojąc we drzwiach runduku, patrzyła na tę scenę w milczeniu i z bezsilnem oburzeniem, które jej tylko łzy na oczy wywołało. Dostrzegłszy skinienie głowy starego wojewody, zrozumiała je i wnet wysłała do Ludy dziewkę służebną.

Przestraszona dziewczyna wbiegła do górnicy i do nóg rzuciła się Ludzie.

— Wojewodę biorą na kniaży dwór — wyjękła.

W jednej chwili zbiegła Luda na runduk.

Wojewoda miał już ręce związane i siedział na koniu; twarz jego była spokojną i zrezygnowaną. Wiatr wiosenny rozwiewał mu włosy siwe na brodzie i głowie.

Luda rzuciła się do ojca i do nóg jego przypadła.

— Ojcze mój biedny, dokądże prowadzą ciebie? — wołała, płacząc i trzymając się strzemienia.

Sławosza odsunął ją ręką od strzemienia.

— Dowiesz się potem — rzekł obojętnie.

Inny, uśmiechając się, dodał:

— Na ucztę do kniazia wołają...

Luda, zdawało się, nie słyszała naigrywania się z ojca; trzymając się tylko strzemienia, wołała rozpaczliwym głosem:

— Ojcze mój... ojcze...

Dobromira nie mogła dłużej powstrzymać oburzenia swego gniewu. Zeszła z runduku i stanęła pomiędzy koniem, na którym siedział wojewoda, a Ludą.

— Wy! rzeźniki kniaziowskie!—wołała zwrócona do koniuchów pięściami podniesionemi groźnie—nie umiecie uszanować ani włosów siwych, ani łez dziecka... Przyjdzie i na was...

Sławosza skoczył ku niej i za gardło ją pochwycił.

— Milcz, czarownico stara, bo do stu piekieł cię poślę!

Dobromira szamotała się w rękach koniucha i tłumionym głosem wołała:

— Rzeźnik! rzeźnik!

Stary Kośniaczko patrzył na płaczącą Ludę; twarz jego wyrażała niemą, milczącą boleść, którą tylko rodzicielskie serce boleć potrafi; dwie wielkie łzy stoczyły się cicho po jego twarzy.

— Nie płacz — rzekł łagodnie.

A potem zwrócił się do Dobromiry.

— Dobromiro! odprowadź ją do górnicy... dziękuję tobie... Siedźcie w domu i czekajcie na mnie...

Wojewoda pocieszał Ludę, chociaż przeczuwał, że do domu nie wróci. Dziewczyna stała na miejscu, jak przykuta, i płakała.

— Pójdę za tobą, ojcze, gdzie każesz... — rzekła.

Wojewoda spojrzał na nią surowo.

— W domu siedź — rzekł tonem rozkazu.

Koniuchy siłą odciągnęli czepiającą się kolan ojcowskich Ludę—i orszak ruszył w drogę.

Zeszło się zewsząd wiele ludu, stanęli zdaleka od Dworu Kośniaczkowego i smutnie poglądali ze współczuciem na to, co się działo przed ich oczami. Cisami, którzy hałasowali niedawno, stali teraz w niemem milczeniu, z biernym smutkiem na twarzy i tylko stłumionem westchnieniem współczucie objawiali.

Wojewoda, mijając dwór swój, obejrzał się raz jeszcze, dojrzał Ludę, spoglądającą przez okienko w górnicy na orszak prowadzący ojca na kniaży dwór, i mimowolnem pochyleniem głowy przesłał jej ostatnie pożegnanie.

Mścisław, siedząc z drużyną pod rundukiem, oczekiwał przybycia wojewody.

Kiedy orszak wszedł na dziedziniec i przed rundukiem zatrzymał się, powstał Mścisław i zbliżywszy się nieco do orszaku, przemówił:

— Ojciec kazał wam podziękować, wojewodo, za przysługę... kazał zapytać: dlaczego nie przyprowadziliście metropolity Grzegorza, kiedy ojciec posłał was po niego z drużyną?

Młody kniazik, podparłszy się butnie ręką pod bok, czekał odpowiedzi, z wyzywającą, pogardliwą miną. Wojewoda, mając ręce związane, siedział na koniu, otoczony zbrojnym orszakiem.

Ubodła starego wojewodę lekceważąca postawa kniazika.

— Dałbym ci, młody kniaże, odpowiedź—rzekł, ale widzę, że niewiele odniósłbyś z niej korzyści: nie umiesz uszanować starości; nie potrafisz uszanować i prawdy.

Mścisław oburzył się.

— Wojewodo! — rzekł dumnie — nie po to kazałem cię przyprowadzić, abym słuchać miał twojej nauki i rady, ale po to, abym się prawdy dowiedział.

— Toż się jej nie dowiesz, kniaże, bo nie wiesz, jak iść do niej. Rady i nauki dawać tobie nie chcę, bieda niechaj ciebie rozumu uczy. Mądry Jarosław nieraz pytał mnie o radę, nie wstydził się...

Śmiała mowa wojewody w zdumienie wprawiła wszystkich.

Mścisław płonął z gniewu i oburzenia. Do ojcowskiego polecenia domieszała się jeszcze obraza osobista. Tego było dosyć, ażeby dalszej indagacyi zaniechać. Rozpytywać dalej wojewodę publicznie byłoby to dać się publicznie znieważać, osłabiać własną powagę i siłę. Kto wie, jakieby to pociągnęło następstwa.

Wobec wojewody nic go nie krępowało: miał wyraźny rozkaz ukarać go, a nie zwlekać,—nie było poco.

— Znamy się na twoich radach — odparł mu Mścisław pogardliwie. — Ty co innego radzisz kniaziom, a co innego na wiecu... dosyć już tego!

— Wola twoja, kniaże, ale nie prawda twoja.

Mścisław gniewnem okiem rzucił dokoła.

— Sławosza! — krzyknął — zawołać mi Sławoszę!

Wiedziano kto był Sławosza i co te zaprosiny oznaczać mogły. Powstało ogólne milczenie.

Zjawił się znany nam już Sławosza, tensam, którego przelękła się była stara Dobromira.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Deotyma: *Polska w Pieśni*: WANDA; Warszawa 1888: kład Maurycego Orgelbranda, druk S. Orgelbranda Synów 3—286, 8-o. — **Felicyan**: *Krolowa*, dramat w pięciu akt odbitka z *Ateneum*; Warszawa 1888 druk K. Kowalewskiego; str. 1—81, 8-o.

(Dalszy ciąg).

Po monologu idzie Wanda błagać Lela o zerwanie z niej kajdan miłości. Noc—głąb' dziewiczego boru. Złe duchy stają na skinienie Piorunny aby śmiertelną opętać. Sabbath w całej pełni. Czarne dziewy śpiewają swe zaklęcia w płomieniach tajemniczo ognie. Ochmistrzyni ich z laseczką czarnoksięzką staje przed jaskinią, z której wyjść ma Lel. Rolę strasznego boga dała Piorunna Rytygierowi, wszakże mimo jego wiedzy Wanda po okrzyku zdziwienia domyśla się przestępu i ciska tem podejrzeniem w twarz Niemcowi; ale Niemiec ma łatwą sprawę: do rozzbrojenia ukochanej wystarcza mu powtórzenie wezwania, aby o godzinie duchów—zapewne o północy—stawił się w jaskini Lela. Wanda wierzy mu, a Rytygier cieszy się nadzieją odprowadzenia jej do Krakowa. Ale księżna lechicka chce iść sama, mimo burzy, rozmyślnie, dla ułatwienia miłości, zrobionej przez Piorunnę. Rytygier nie opiera się i w zachwycie spogląda za oddalającą się wśród huczącej nawałnicy Wandą.

W akcie IV znajdujemy się znowu przed dworem książęcym w Krakowie. Stanisław i Wyrwidąb, obaj zarówno niekochani przez Wandę, godzą się ze sobą. Wyrwidąb wyrzuca królewnie złamanie ślubu rycerskiego: nie trudno już widzieć, że Wanda lgnie do Niemca. Bez emancypacyi ani rusz. Tomiła opowiada, jak w Kaliszu (Ptolemeusz zna już „Calissią") starcy schodzili się na roki, i schodzili, aby gryźć ciągle kamienie, aż dopiero bóstwo natchnęło cudownie kobiety i z pierwotnej igraszki uczyniło jakiś wyrok niezmiernie mądry, po którym wprowadzono niewiasty do grona sędziów narodowych. Właściwie należało wprowadzić samo niebo: ono-to bowiem owe niewiasty mądrością natchnęło. Wandzie nie emancypacya teraz w głowie i sercu, ale Rytygier. Daleko ją silniej zajmuje opowiadanie Płomniewy, niż apostolskie przypomnienia Tomiły. Na Płomniewie spełniło się także prawo życia, zpod którego cała ta kobieco-rycerska państwowość ze swoją emancypacyą, ze swem bohaterstwem, z olbrzymiością siły i cnoty daremnie wydrzeć się pragnęła. I Płomniewa także, jak Wanda, pokochała i bardzo dobrze miłość swą zamyka w opowiadaniu przygody nad potokiem. Wanda słucha, marzy i wygłasza owę przypowieść o cudach miłości, którą przed dwudziestu jeszcze laty Wacław Szymanowski zamieścił w *Kuryerze Warszawskim*. Wiersz ten nadaje się dobrze do deklamacyi:

Póki serce nie kochało,
Życie jest jak okolica,
Której słońce nie oświeca.
Może ona i wspaniała...,
Cóż? gdy noc z niej farby starła;
Ziemia leży jak umarła!

Lecz niech tylko zorza w dali
Porozrywa chmur spowicia:
Każdy pyłek się zapali
Nieśmiertelną iskrą życia,
Wszystkie barwy swit odnowi,
Wszystkie kształty dzień wyciosa.

Cóż się stało obrazowi?
Słońce weszło na niebiosa.

O, miłości, o jedyne,
Słońce szczęścia w ludzkiem niebie!
Lepiej z tobą żyć godzinę,
Niż wieki bez ciebie.

Ta śpiewająca na cześć miłości Wanda, jakże daleko odbiegła od Wandy z monologu! Jest to

już tylko istota wątła, jak ćma lecąca w światło zapalone przez Lela. Za dawne więzy serce mści się dzisiaj na rozumie i dumie, na męztwie i potędze, i ciągnie je za sobą, shołdowane, przybite, [illegible]. Mrze już Wanda w ideowym swoim bycie; zostaje z niej tylko istota indywidualna, własną, dla siebie tylko i przez siebie żyjącą [illegible]wością.

Dla Wandy Płomniewa mogła być bardziej [illegible]ącą od Tomiły; ale obie one, jedna po drugiej, zbyt długo trzymają dramat na bezdrożach dramatyczności, aby wejście energicznej Własty nie miało być dla czytelnika pożądanem. [illegible]tnie dyalog się ożywia, szkoda tylko, że potrzebuje do tego zbyt wielkiej ilości słów. Własta, co się zowie olbrzymką; Wanda wygląda przy niej arcy-maluczko. Musi teraz słuchać jej wyrzutów, iż dopuszcza się odstępstwa, chce szczęścia dla siebie,—szczęścia, do którego droga po trupach kobiet, przez Wandę do życia powołanych: które straszne będą ją dręczyły: „Zbudziłaś w nas głód wieczny, a nie dałaś strawy“; i gdyby to jeszcze bożek jaki!—„Nie dziwy, że zapo[illegible] ziemi kto może być w niebie“— ale Rytygier, człowiek podobny innym!“ Wanda woła [illegible] olbrzymkę: „Ani słowa więcej.“

Dalsze starcie przerywają goście sproszeni na zabawę. Tłoczy się kto żyw. Oczywiście, nie braknie i Rytygiera: wszak ten cały festyn głównie dla niego. Zaczynają się tańce. Wyrwidąb wiedzie rej w kujawiaku. Z tańców korzysta i miłość: Świętosław, ów jeniec Rytygiera, zapala się dla Bożenny, a Płomniewa i Zbigniew dobijają do lądu wyznanej wzajemności. Przychodzi kolej na mazura; tu pierwszeństwo zawodu z prawa dostaje się posłowi mazowieckiemu. Przedśpiewy urozmaicają tańce. Tancerze przystawają i palą, jak z bicza, dwuwiersze. Rytygier nie może już wytrzymać; nietylko z serca, ale i z tańca, chce zostać Chrobatą; zrywa się z tronu, na którym go Wanda obok siebie posadziła, obejmuje ją wpół i hasa, przystawając także dla wyśpiewania trochę banalnych dwuwierszy. W jeden z nich wcieliła autorka podany przez Mierzwę i Wincentego okrzyk umierającego Niemca: *Vanda mari, Vanda terrae, Vanda aëri imperet* [1]).

Krakowiakiem swoim Rytygier wkupił się w serca Lechitów; już głosy w tłumie wołają, patrząc na tańczącą parę: „Tak przystają do siebie, jak skroń do korony!“—lepiej byłoby: „korona do skroni.“ Czas wreszcie i na rycerki, aby za przykładem swej królowej zrobiły z rycerskości i ślubów ofiarę dla Terpsychory. Własta odpędza od siebie jakiegoś młodzika; ale inne wcale się nie opierają. Waligórom i Wyrwidębom dostała się przynajmniej jakaś rola w państwie: mogą z olbrzymkami potańcować.

Z prawa tego skorzystaliby do zmęczenia, gdyby nie Hakon, który z nienawiści ku Rytygierowi wywołuje zwadę. Wie on już, że się w mazurze tancerkę odbija i porywa też kobietę Waligórze, — „choć to nie mazur“; idzie mu tylko o zrobienie burdy. Przychodzi do mieczów, ale Wanda nie pozwala—nie pozwala też i biesiada zastawiona właśnie za sceną, w ogrodzie, przy pochodniach.

Jeżeli już raz mieliśmy scenę operową, tutaj mamy scenę rodzajową w połączeniu z baletem. Cała ta rodzajowość roztańczona, śpiewająca i krzesząca ogień podkówkami nie udała się Deotymie. Najpierw jej talent nie był nigdy i nie jest do tego, a powtóre sam rodzaj pomysłu wyłączał już wszelkie takie obyczajowe malowidła. Wygląda to, jakby brzydki drągal w kożuchu przez tajemniczą krainę dziejów bajecznych usiłował pływać po powietrzu pospołu z lotnemi, w wyobraźni zaledwie utrzymać się zdolnemi, nymfami lasów i pól. Deotyma niesłychanie prędko każe ludowi na cześć Rytygiera wołać: „Niech żyje! Sława!“ i t. p. Dziw prawdziwy, że Niemiec jakoś z tego korzystać nie umie i pozwala Wandzie na nową jeszcze zwłokę—ale do jutra tylko; jeżeli jutro królewna odeśle Niemcowi pierścień, będzie wojna. W Wandzie po uciesze nastaje znowu smutek i rozwaga. Kapłan Niebosz spróbuje przebłagać Dziewannę i Lela, ale niema wielkiej nadziei. Czarnoksiężnice znowu spadają na żer; ale je chór białych ksieni odpędza. Zwycięża Wanda dawniejsza, na to przecież tylko, aby raz jeszcze zostać zwyciężoną.

Cała scena mocowania się złego ducha z dobrym zbudowania jest rozumnie, ale w niej właśnie występuje wątłość, charakteru Wandy, niezdolnego do wydobycia z siebie pobudek dość głębokich, silnych, niepowstrzymanych w biegu. Rzeczywiście nie widzimy tego, co Wandę przerzuciło znowu na stronę obowiązku i ideału nieosobistego; panującej zasady, najwyższej woli nie dostrzegamy. Tem się też tłómaczy jej nowa przemiana czekająca nas w akcie V. Jak Rytygier na Rugii, tak teraz po zwycięztwie dobrego wpada Wanda w szał przypominający *Beserker-Wuth.*

Na chmurnym biegunie,
W błyskawic łunie,
W syku pożarów,
W szumie sztandarów,
W puklerzów szczęku,
W orkanie jęku,
Nad przepaścią zawrotową,
Ze zwycięztwem pod stopą, z orłami nad
[głową,
Pędzić póki świat nie runie,
W świat nieskończonej bitwy pędzić na
[piorunie!

Szał posuwa się aż do owego nierozumnego zakazu wydanego mężczyznom, aby nie ważyli się uczestniczyć w boju — chyba w nieszczęśliwym.

Mężczyźni usłuchali; rycerki same pobiły Niemców, gdy przyszło do walki po odesłaniu pierścienia przez Wandę. Ale pobicie to było niesłychanie łatwem. Rytygier umie się tylko silnie odgrażać (str. 200), ale gdy przychodzi do czynu, przez rycerskość, przez cześć dla kobiety,—którą Wanda w Niemcach dopiero odkryła, — zabrania, on znowu swoim, podnosić oręża na kobietę.

Przy takiem urządzeniu walki zwycięztwo jest pewne. Sam Rytygier oddaje się w niewolę — chce już być tylko giermkiem (str. 221), a jego rycerzy olbrzymki mordują — jakby zarzynały kurczęta. Cała epopeja i dramat, i tragedya — wszystko odrazu się rozlazło gdzieś, rozwiało. A czy wie Deotyma przez co? Przez tę nieszczęsną emancypacyą, która z niezdrowego pomysłu musiała logicznie wydać okaleczałą, kulejącą sztukę. Co znaczy ta Wanda wyznająca takiemu sentymentalnemu, mazgajowatemu Rytygierowi, na polu walki, że go kocha; ten Rytygier pragnący już być tylko jej służką; ten pojedynek, w którym każde z zakochanych spodziewa się znaleźć śmierć z ręki najdroższej, a żadne walczyć nie chce; to mnóztwo słów, sporo ruchu scenicznego, przyzwoita wcale garść ładnych myśli, okazałe album obrazków poetycznych — wobec zadania sztuki, która miała być epopeją narodową, a jest rzeczywiście tylko poematem o miłości objawiającej się w warunkach nieprawdziwych, nieprawdopodobnych, a nawet po części i wstrętnych? Pojedyncze przemówienia, całe dyalogi, nawet sceny, nie ocalą całości, wzniesionej na fałszywej hypotezie historycznej i poetycznej.

Poemat kończy się tak, jak w podaniu najpowszechniej [1]) przyjmowanem do opowiadań dziejów bajecznych: rzuceniem się Wandy w Wisłę – nie z mostu, jak w Długoszu, — ale z lądu. Konieczności w dramacie do takiego samobójstwa nie widać; samo topienie się jest nadzwyczaj powolne, rozwlekłe. Zakończenie to nie wraża się w umysł, nie zostawia w nim ani smutku, ani żałości, ani uniesienia.

Przeczytaliśmy ogromną, jak na poemat, książkę i nie czujemy jej w sobie: — głodno i chłodno. Myśl nasza zwraca się do kilku strof Słowackiego i więcej w nich treści, więcej sytości dla siebie znajduje, niż w tak wielkiem rozmiarami dziele Deotymy. Inaczej tam wygląda Rytygier, inaczej i Wanda, i całe podanie. W kilku strofach jakby z za mgły uroczej prześwituje cały świat pierwotnych olbrzymich potęg.

Jeszcze pamiętam ten wrzask i to wycie
Różnych narodów i różnych języków,
Gdy te ludyszcza przy Wisły korycie
Przyparłem do fal falą moich szyków;
Aż mi o rannym wyprawili świcie
Najstarszych z wojska swego tysiączników.
Prosząc o pokój i o ziemi bryłę
Taką, że ledwo dla nich—na mogiłę.

Ja wtedy pod lwią skórą rudozłotą,
Siedząc na prostej powózce Germanów,
Rzekłem:—„Niech pierwej dziewczęta rozplotą
Warkocze—córki najpierwszych supanów;
Niech sama Wanda, płaczem i tęsknotą
Zmiękczona, przyjdzie nam do roztruchanów
Nalewać wina;niech ją, złotowłosą,
Germany moje na tarczach podniosą.

A gdy przez ludy dzikie okrzykniona
Królową, z tarczy mosiężnej księżyca,
Zaśpiewa nam pieśń na nowe plemiona,
I nasze dzikie dusze pozachwyca—
Ja wtenczas drżące otworzę ramiona,
Aby zleciała w nie jak gołębica
I wyprosiła usty różanemi—
Co chce?—Niebiosa całe, czy pół ziemi?!

Rytygier Deotymy skromniejsze ma żądze: giermkowanie mu wystarcza; na skromniejsze też, niższe, zaciszniejsze miejsce w literaturze dostanie się wraz z Wandą i z owymi Chrobato-Lechitami przypominającymi wyroby z tektury. Najlepsze są Białe i Czarne Ksienie— a z całego poematu zostaje w żywszej pamięci jedna tylko Własta.

Autorka była sama na Rugii, jeszcze w r. 1857, słyszała podanie o miejscowym księciu Rüdigerze i pięknej królowej Wendów, odpowiadające naszemu podaniu o Wandzie. Utwierdziło ją to w postanowieniu wyprowadzenia Rytygiera długoszowego z Rugii. Ani się spostrzegła, że popełnia anachronizm historyczny. W wieku Wandy — wieku podaniowym, jak sama Wanda, t. j. ósmym, w pierwszej połowie — Rugia nie miała jeszcze ani książąt niemieckich, ani arcykapłanów, ani Hert, ani ofiar ludzkich, ani podbitych książąt słowiańskich. Mierzwa nazywa księcia cudzoziemskiego „dux Allemanorum“, a Wincenty „Lemanorum“. Lelewel znalazł w Prokopie, historyku greckim z epoki chrześcijańskiej, Radigera i Warnów i historyą przystającą jak wraz do mazgajowatego Rytygiera z poematu [1]). Rugia dopiero w roku 1168 dostała się pod jarzmo cudzoziemskie, i to nie Niemców, ale Duńczyków [2]).

Wyrażenia poetyczne nie wszędzie odznaczają się szlachetnością, zastosowaniem do czasu i poprawnością logiczną lub gramatyczną. Dla przykładu: Str. 120 „Lel pojawia się w zbroi *kutej z łez* i stali“. Kuć łez nie podobna, a o stali w VIII wieku—w Krakowie wypadałoby mówić bardzo ostrożnie. Na str. 173 Waligora grozi Hakonowi „dębinką“. Str. 187: „Pobież z nami w świat radosny, tańcujący w świat“ — rozpędzenie się pióra wierszopisarskiego poza granice dozwolonego porządku składniowego. Wadliwem jest: „Patrząc na ciebie... łzami zachodzą powieki“ (str. 151). Na str. 231 „Woń w rozpędzie“ — na str. 216 „wyciąga objęcia“ na str. 218 znowu „roztwiera objęcia“—są rów-

---

1) *M. P. H.* Bielowskiego, T. I, str. 257.

1) „Najpowszechniej“ tylko, bo nie wyłącznie. W dawniejszych kronikach Rytygier jest samobójcą z rozpaczy, a Wanda spokojnie umiera. Samo nazwisko zjawiło się już bardzo późno. Wanda ma potęgę nadprzyrodzoną ob. *M. P. H.* T. I. str. 169—171.

1) *Polska Wieków Średnich*, Tom I. str. 228. Inne podanie niechrobackie u Bielowskiego *l. c.*

2) Kto niechce zaglądać do kronik, zwłaszcza do Saxo-Grammatika, ten znajdzie wiadomość o tem podboju, wraz ze szczegółami zdobycia Arkony i opanowania Karenży, w rozprawie p. Sieniawskiego *Pogląd na dzieje słowian półn. zachodnich* (Gniezno 1881).

nież bez legitymacyi. „Jak“ zamiast niż“ dostrzegłem na str. 33, 105, 168. Dwa razy „lica“ mają postać „lico“ (str. 74 i 167). Razić też musi dopełniacz „Tater“ (str. 18) „nie zna“ = *nie wie* (str. 137) „Sokół książęcy“ (str. 103) jest naleciałością niemiecką, szerzoną teraz coraz bardziej przez nasze dziennikarstwo. Za zbyt ryzykowne uważam stałe uznawanie Nii i Łady za bóstwa żeńskie. Boga „Piekiełłę“ możnaby w roli Nii męzkiego przyjąć — zwłaszcza w poezyi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż d. 1 Sierpnia 1888 r.

Deszcze i oziębienie się powietrza. — Emigracya do wód. — Jeszcze Bulanżerówka. — Skandal w parlamencie i pojedynek ex-generała z Floquetem. — Obchód 14 Lipca.— List Hrabiego Paryża do merów i zwołanie ich do stolicy przez rząd.—Olbrzymi bankiet. — Illuminacye i fajerwerk z Wieży Eifela. — Podróże Prezydenta Rzeczypospolitej; Grénoble i Chambéry. — Miesiąc posągów. — Odsłonienie pomników: Stefana Marcela, Gambetty, sierżanta Bobillota i Ojca Lacordaire'a.—„Nieśmiertelny“, nowa powieść Alfonsa Daudeta. — Muzyka kościelna i listy pasterskie dwóch biskupów.

(Dokończenie).

Odsłonienie tego pomnika było powodem dość zabawnego bąka, jakiego wypalił w swej relacyi jeden z reporterów „Krzyżowej gazety“ pruskiej; niewiedząc on, kto był ów Marcel, a widząc go w zbroi siedzącego na koniu, poszedł do dykcyonarza współczesnych p. Vapéreau i znalazł tam przypadkiem wzmiankę o Marcelu, również Stefanie, jakby umyślnie, który był generałem brygady (Maréchal de Camp) i umarł w 1856 r. Napisał więc do swej gazety, że wzniesiono tu pomnik Marcelowi, którego przerobił z Maréchal de Camp na marszałka Francyi. Żartowali sobie i śmieli się Francuzi z tej pomyłki Niemca, zapominając, ile-to razy oni sami strzelają bąki—i grubsze—kiedy chodzi o rzeczy cudzoziemskie.

D. 13 Lipca na placu tak zwanym: du „Carrousel,“ odsłoniony został z wielką pompą i wielką ceremonią w obecności prezydenta rzeczypospolitej i deputacyi wszelkich władz ukonstytuowanych—pomnik Gambetty. O samej ceremonii niéma co mówić. Jest to tysiączne pierwsze powtórzenie tych wszystkich obchodów, jakiemi zwykle z podobnego powodu zabawia się ciekawą gawiedź. Najdziwniejszym może wypadkiem obchodu było przybycie p. Floquet'a który, właśnie tylko-co po odniesionem zwycięztwie nad ex-generałem wichrzycielem, wracał wprost z pojedynku na mównicę, aby pokazać temu poczciwemu ludowi, że, choć adwokat z powołania, może dać jeszcze—jak tu powiadają: *le coup de torchon* dawniejszemu kapitanowi Turkosów, i wrócić wczas na mównicę, aby wysławić swego przyjaciela i mistrza Gambettę. To też publiczność, wybrana i za biletami wpuszczana, nie szczędziła mu oklasków.

O pomniku jedno tylko można powiedzieć: jest to straszna miernota jako dzieło sztuki. Mamy tu przed sobą najdziwniejszy ze wszystkich pomników świata całego, niewyłączając nawet sławnego Mausoleum królowej Artemizyi. Posyłam wam fotografią, bo dla szczegółów i opisu miejsca mi braknie. Patrząc nań, myślałem o pomniku dla Mickiewicza i modliłem się w duchu, aby wszyscy promotorowie owych dziwnych, symbolicznych projektów krakowskich mogli oglądać ten pomnik Gambetty i powiedzieć sobie, bijąc się w piersi: „Od takiej sztuki zachowaj nas, Boże, i dzięki ci, Panie, żeśmy do wykonania tego nie przyszli...“

Patrzcie: piramida w kształcie obelisku; na samym wierzchu, oklep, na lwie skrzydlatym, siedzi naga kobieta: to demokracya, ujeżdżająca lud, co przypomina, owo „na ogromnym smoku jeździć będziesz!“ U spodu obelisku stoi Gambetta, w naszem dzisiejszem ubraniu, nawet w paltocie, gwałtownym ruchem prawego ramienia; w ręku trzyma sztandar, jakby powoływał do czynu otaczających go ludzi. Ta grupa, jak sam obelisk, jest z marmuru białego; niżej, u stóp Gambetty, siedzą bronzowe postacie: na prawo obelisku—prawda ze swem źwierciadłem, nalewo — siła. Dzieci umieszczone z tyłu obelisku, podające sobie ręce, uosabiają Pracę i Wojsko, dlaczego dzieci? Oprócz głównej grupy Gambetty i obelisku, jak mówiłem z marmuru, reszta figur jest odlana z bronzu; wykonanie tych bronzów pod każdym względem zostawia nieskończenie wiele do życzenia.

Najlepszą częścią jest może sam Gambetta, ale głowa zbyt w tył odrzucona nie pozwala dojrzeć rysów twarzy, które zasłania śmiesznie stercząca broda. Jednem słowem: jest to dzieło tak miernej wartości, że dziwić się należy, jak tu, gdzie mają przecież rozum, pieniądze i znakomitych rzeźbiarzy, mogli poprzestać na takiej miernocie.

W kilka dni później przy Bulwarze Voltaire'a wzniesiono pomnik dla młodego podofficera od inżenierów, nazwiskiem: Bobillot; zginął on w Tonkinie, bohaterską śmiercią, przy zdobyciu zamku Tujen-Kwan. Jako dzieło sztuki jest ten pomnik najlepiej wykonany, z trzech wzniesionych tu obecnie. Młody podofficer, z karabinem w ręku, przedstawiony jest w chwili, kiedy wysadzając minę, kładzie swe życie w ofierze. Niezmierny tłum ludu otaczał zewsząd pomnik, a swem spokojnem i godnem zachowaniem się dowodził, jak głębokie poczucie szacunku chowa w swem sercu, dla tych, którzy poświęcają swe życie za sprawę ojczyzny i za cześć narodowej chorągwi. Szczęśliwi ludzie, którym wolno jest tak czcić cnotę i męztwo!

Najbardziej wzruszającym obchodem było odsłonienie pomnika dla ojca Lacordaire'a. W okolicy Tuluzy, zdala od zgiełku Nowej Babilonii, w cichej, pięknej dolinie rzeczki Sorèze'y, tam, gdzie się wznosi sławna szkoła jego pracą i staraniem urządzona, w dawnych po-benektyńskich murach starego zamczyska obrano miejsce na pomnik. Oglądając to malowanicze ustronie, nie można się dziwić, że ojciec Lacordaire, znużony pracą apostolstwa wybrał takie zacisze, aby w niem zakończyć żywot, daleko od świata, w samotnem rozpamiętywaniu, nauczając młódź, która tu śpieszyła ze wszystkich stron świata, czerpać naukę i utwierdzać swą wiarę, pod przewodnictwem sławnego Dominikanina.

Dziś to sławne kollegium, założone przez O. Lacordaire'a, które pod dyrekcyą O.O. Dominikanów, oddało tyle usług oświeceniu publicznemu—zostaje pod sterem duchowieństwa świeckiego, oddając po dawnemu ważne usługi w kierunku wytkniętym przez niezapomnianego założyciela.

Dzień 23 Lipca był przeznaczony na wspaniały obchód, przez przyjaciół i wielbicieli wielkiego Dominikanina. Oprócz ogromnego napływu wszystkich warstw sąsiedniej ludności, przybyło tu więcej niż dwustu duchownych, na czele ich dygnitarze: J. E. Arcybiskup z Albi, biskupi z Montpellier i z Cahors, prowincyałowie O.O. Dominikanów i Kapucynów, deputowani, senatorowie, członkowie dawniejszych zgromadzeń narodowych, członkowie rady stanu, officerowie wszelkich stopni, adwokaci, członkowie sądownictwa, a wszyscy prawie dawniejsi uczniowie kollegium w Sorèze, przyciągnięci tu żywą pamięcią i wiernem uczuciem miłości dla swego nauczyciela i przewodnika na drodze prawdy.

Ceremonia odbyła się pod przewodnictwem J. E. Arcybiskupa z Albi, po odprawionej solennej summie, pod otwartem niebem, w cieniu od wiecznych platonów, bo ani kaplica kollegium, ani żaden kościół nie mógłby pomieścić niezliczonych tłumów wiernych. Sędziwy pasterz wygłosił pochwalną mowę O. Lacordaire'a—i natychmiast odsłoniono pomnik.

Znakomity mówca kościelny przedstawiony jest stojący, oparty jedną ręką na ramieniu młodego ucznia swej szkoły. Twarz O. Lacordaire'a odznacza się zadziwiającem podobieństwem, nietylko w rysach, ale w wyrazie, pamiętnym dobrze dla wszystkich tych, którzy mieli szczęście zbliżyć się do nieboszczyka. Grupa tego mnicha, w habicie o szerokich malowniczych fałdach, z młodziutkim alumnem obok, jest pełna poezyi i natchnienia. To też kiedy spadła zasłona, jeden krzyk podziwienia i zachwytu wyszedł z piersi wszystkich przytomnych. A przecież ta wzniosła postać nie jest to ów piorunujący mówca od Najświętszej Panny Paryzkiej, ale prosty, skromny ojciec i nauczyciel młodzieży, której młodziutki przedstawiciel podnosi oto ku niemu wzrok swój pełen miłości i wdzięczności. Poważna ta i piękna grupa stoi na podstawie z granitu, którego dostarczyły sąsiednie skały. Żadnego niéma napisu, widać tylko gałązkę palmową: to cały symbol człowieka i jego siły.

Po poświęceniu pomnika zabrał głos książę de Broglie, następca O. Lacordaire'a w Akademii Francuzkiej, i we wspaniałej mowie skreślił żywot i pracę tego nowożytnego apostoła najczystszej wiary.

Kto, jak ja, miał szczęście słyszeć niegdyś O. Lacordaire'a, każącego z ambony Najświętszej Panny w Paryżu; kto mógł być przytomnym dzisiej tej uroczystości w Soréze—ten musiał zaprawdę uczuć w swej duszy głos, mówiący mu, że droga, którą szedł ten człowiek, jest to ewangeliczna: droga, prawda i życie!... O! czemuż niewolno mi jest całej tej korrespondencyi zapełnić temi tylko wspomnieniami, i tem uczuciem, które mnie wskróś przejmuje! Ale życie ma swe wymagania, ma je również i *Bluszcz*. A więc w drogę!

Wszystko tu musi być powodem do reklamy i wrzawy. Rzecz najprostsza, dzięki zapędom dziennikarskim, przybiera zaraz nadzwyczajne kształty i, jak to powiadają: z muchy robią zaraz słonia. Tak się też stało z ową powieścią Alfonsa Daudet'a: „L'Immortel“ (Nieśmiertelny!) Wiecie już zapewne, że pod tym wyrazem, rozumieją tu zwykle, trochę przez ironią, każdego z członków Akademii Francuzkiej. Skoro więc tylko dowiedziano się o tytule nowej powieści, zaraz wywnioskowano, że Daudet, który dawniej już miał się wyrazić dosyć ostro o Akademii, i zapowiedzieć, że nigdy o godność akademika ubiegać się nie będzie, napisał pod tym tytułem, nie powieść, ale pewien rodzaj pamfletu przeciw Akademii.

Po wyjściu książki pokazało się, że tak nie jest wcale. A jeśli bohaterem powieści jest jeden z akademików, niéma w tem przecież ani pamfletu, ani żadnego wypowiedzenia wojny. Nie braknie tu wprawdzie dowcipnych, śmiesznych i uszczypliwych podjazdów, sprytnych, przycinków a nawet i ostrych pocisków wymierzonych przeciw niektórym przestarzałym zwyczajom i obyczajom tej starej instytucyi,—a jeśli są nawet fakta zaczerpnięte z prawdziwych wydarzeń, wszystko to przecież dalekiem jest od tego, aby można przypisać autorowi systematyczną chęć ubliżenia „nieśmiertelnym“, albo prześladowania Akademii, jako przybytku światła i sławy.

Główna osnowa powieści oparta jest na wydarzeniu prawdziwem, i nie tak dawnem nawet, gdyż kilka lat temu pisałem o niem do *Bluszczu* w mojej kronice.

Znana to jest dobrze historya p. Michała Chasles'a, professora matematyki i członka Akademii Nauk. Szanowny ten professor miał to nieszczęście, iż wpadł w ręce zręcznego oszusta, który wyłudził od niego całą prawie fortunę, sprzedając mu za autentyczne oryginały bardzo zręcznie fabrykowane listy i dokumenta, a w tej liczbie sławne *Listy Pascala* i sławniejszy jeszcze list *Ś go Piotra* (!) — własnoręczny! Trzeba zapewne wielkiej naiwności, aby wpaść w podobną pułapkę! Ale cóż prostszego i naiwniejszego w świecie, nad człowieka uczonego i zupełnie oddanego nauce?

Ów tedy wypadek, który się skończył w tutejszej policyi poprawczej, potępieniem fałszerza, kosztował, jak mówiłem, p. Chasle'a całą prawie fortunę, a nawet życie, bo sędziwy professor,

przygnębiony i zgryziony, nie przeżył tej katastrofy. Sprawa, przelana, ma się rozumieć, w formę, którą dla niej wytworzyła fantazya Daudet'a, jest główną osnową powieści. Obok ojca Astier'a, człowieka nauki i pracy, jest syn jego, młodzieniec nowych pokładów społecznych, jeden z tych *Struggle for lifer'ów* naszego czasu, który, jak się wyraża charakteryzujący go autor, aby uwieśdź i ożenić się z kobietą bogatą, gotów był tysiąc razy się shańbić, gdyby to było tak łatwem shańbić się tej nowej rasie młodych łotrzyków, dla których szczęśliwy wynalazek Darwina, *Walka o życie*, służy za naukowe usprawiedliwienie wszelkiego rodzaju niegodziwości i spodlenia!

Ten ojciec Astier, akademik i ofiara oszusta z cyrografami, matka, pani Astier, zaślepiona miłością dla syna, syn, oplatający, jak pająk, swą siecią, bogatą i piękną wdowę, księżnę de Rozen: oto główni aktorowie tej powieści, napisanej z życiem, talentem i dowcipem, które są znanemi już wszystkim przymiotami tego pisarza. Ale trzeba dodać, że to są bardziej studya i obrazy z natury brane do kalejdoskopu życia paryzkiego, niżeli właściwa powieść. Oprócz głównych, tylko co wspomnianych, osobistości, są tu jeszcze postacie epizodyczne, rysowane z niesłychaną z zadziwiającą prawdą i talentem. Stanowi to prawdziwą wartość książki Daudet'a. Paryżanie odnajdują w niej cały swój światek, oryginałów i oszustów, ale reszcie czytelników, wszystkim obcym, braknie klucza.

Powieść posuwa się żwawo i wygląda więcej na dramat, na sztukę teatralną, niż na spokojną opowieść życia. Kończy się fatalnie, tragicznie, bo biedny akademik Astier, shańbiony przez syna, odarty z fortuny przez Fage'a, owego-to oszusta handlującego fałszywemi manuskryptami, nie może już wytrzymać strasznej nawałnicy losu: upada pod jej ciężarem i z rozpaczy topi się w Sekwanie.

Słowem: jeśli są tu fakta tyczące się wypadków, w których członkowie akademii mieli jaki udział; jeżeli są tu żywo schwycone obrazki z życia akademickiej rzeszy w Paryżu, tej rzeszy, która stanowi mały odrębny zupełnie światek w Wielkiej Babilonii; jeśli tu pełno ironii, dowcipu, a nawet sarkazmu—wszystko to przecież nie stanowi, jak mówiłem, wypowiedzenia wojny akademii przez autora.

Ale, w 60-ej niby edycyi tej powieści, (wiecie już jak to należy sobie tłómaczyć, to mnożenie się wydań w rękach tutejszych wydawców), w nowem zatem wydaniu i na pierwszej karcie—Daudet,—nie wiem z jakiego powodu i jaka go ukąsiła mucha, — jak mówią Francuzi, umieścił następujące zawiadomienie:

„Insynuacye niektórych dzienników, chcących dać do zrozumienia, że „Nieśmiertelny" jest wyrazem powszedniej urazy upadłego kandydata, zmuszają mnie do umieszczenia na czele tego nowego wydania—listu, który pięć lat temu pisałem do dziennika *Figaro*:

„Nie podaję się, nie podawałem się nigdy i nie podam się nigdy na kandydata do Akademii — *Alfons Daudet.*"

Cała rzecz w tem, aby się dobrze zrozumieć. Udekorowany świeżo Zola, orderem Legii Honorowej doskonale to wytłómaczył, jak można dostać order i podać się na kandydata do Akademii—zachowując zupełną niby neutralność.

Daudet nie podawał się również i nie poda się sam nigdy na kandydata, ale ma on tu wielu przyjaciół i życzliwych na ławach tej Akademii. Ci więc, gdy będą pewni większości głosów, podadzą go sami, a wówczas i Daudet nie odrzuci darów Artaxerxesa: napisze list i złoży obowiązujące wizyty.

Kiedy mówimy o zastarzałych przesądach i zwyczajach Akademii Francuzkiej, dodajmy to jeszcze, że niéma kraju na ziemi, gdzieby wszelkiego rodzaju objawy społeczne, tak się mnożyły i tak łatwo przechodziły w wybujałość nadużycie, jak we Francyi. Oto mamy nowy przykład tego w odezwie dwóch najszanowniejszych dygnitarzy kościoła we Francyi, dwóch biskupów, którzy powstają, nie bez racyi, przeciw nadużyciu, jakiego dopuszczają się dziś muzycy we względzie muzyki kościelnej, a raczej, aby się wyrazić jasno: „Muzyki w kościele."

Pokazuje się z listów pasterskich dwóch tych biskupów: 1) że ceny, jakich dziś wymagają artyści muzykalni są niedostępne dla środków, jakiemi rozporządza kościół we Francyi; a po 2) że muzyka nowożytna wprowadzona do kościoła, wyruguwała z nich do szczętu piękny i tradycyonalny śpiew—zwany: „Plein Chant." Jest to najświętsza prawda; ale, dodajmy tu jeszcze to, czego biskupi nie chcieli powiedzieć w swych listach, że wprowadzenie nowożytnej muzyki, w warunkach, w jakich się dziś odbywa, jest wierutnym skandalem! Przyszło tu bowiem do tego, że w dni świąteczne, w dni świąt np. patronalnych, aby zapewnić obfitość ofiarnej kollekty, na użytek arcy - dostojny i miłosierny—zgoda! ale, aby zapewnić obfitość datku, kościoły ubiegają się jeden przed drugim o pozyskanie najsławniejszych muzyków i śpiewaków obojga płci i artystów pierwszorzędnej sławy, opłacanych często ogromnym datkiem, a służących do przynęcania, nietyle pobożnych, wiernych, ile ciekawych, pragnących posłyszeć te rzadkie ptaki i śpieszących za biletami do świątyni, jakby do jakiego teatru.

Widzieliśmy tu nieraz, i nie dziesięć, te nieskończone ordynki przed drzwiami kościoła, długie, jak oko sięgnie, tłoczących się do wejścia, do miejsc i do krzeseł z zapałem hordy pogańskiej, a nie gromady chrześcijańskiej; widzieliśmy to, ze zgorszeniem, i dlatego podzielamy absolutnie to, co powiedziały listy pasterskie obu biskupów—chociaż naprzód jesteśmy pewni, że się to nie da zaprowadzić w tym kraju, gdzie łatwiej jest wszystko, co dobre, wywrócić, niż wykorzenić nadużycie, które coś komuś przynosi.

γ

W ANTYLLACH.

Przez

Quatrelles

przekład **M. K.**

(Dalszy ciąg).

To jeszcze nie wszyscy, ten legion, który wam wymieniłem; są jeszcze malcy, ulubieńcy państwa, stojący za krzesłami, niby paziowie: sztywno, nieruchomie, ze wzrokiem bacznie zwróconym na każdy ruch, zawsze w pogotowiu do podnoszenia chustki zsuwającej się systematycznie co pięć minut na ziemię, lub pobiegnięcia po wachlarz, albo flakon zapomniany w dalszych pokojach. Od czasu do czasu dostaje im się jakaś pieszczota; oni sami kradną w przelocie ciastko lub owoc.

Tymczasem *calesero* wytoczył powóz, wyprowadził konia i zaprzęga go przed bramą. Po skończonym posiłku kobiety w sukniach wyciętych, z kwiatami we włosach w falach muślinów, po trzy w powozie, mającym tylko tylne siedzenie, jadą pokazać się na „Paseo."

Gaz zapalają, ulice pełne przechadzających się, wyborna muzyka wojskowa gra na placu *Obreros de Ingenieros*. Roztwierają się podwoje teatru, przed cukierniami i kawiarniami niéma ani jednego pustego miejsca. *Serenos*, to jest policyanci, ujmują niewinne halabardy, zapalają ślepe i głuche swe latarki i zaczynają straż nocną.

Okiennice wszędzie otwarte, story podniesione; widzieć więc można służbę uprzątającą mieszkanie; w każdym salonie ustawiają krzesła dwoma rzędami naprzeciwko siebie, obok nich spluwaczki, a na stoliczkach dzbanki z gliny porowatej, pełne wody z lodem, w których podobno woda nie ciepleje.

Powóz wraca. Panie wysiadają z pośpiechem i biegną zmyć ślady, jakie kurz pozostawił na ich twarzyczkach i ramionach. O ósmej wszyscy są zgromadzeni i zarówno goście przybywający, jak gospodarze, kołyszą się na bambusowych fotelach. Rozmowa toczy się około pospolitych przedmiotów, niewymagających zbytniego wysiłku wyobraźni i intelligencyi. Kobiety, rozmarzone, ociężałe,—mężczyźni z cygarami w ustach, otoczeni chmurą dymu długo potrafią siedzieć milczący, pogrążeni w rozkoszy dostatecznie znanej tylko w strefach podzwrotnikowych, polegającej na zawieszeniu wszelkich uczuć ciała i duszy, z zachowaniem jedynie takiej żywotności, aby w danej chwili można sobie było powiedzieć: Już nie istnieję!... a jednakże w parę godzin znów zmartwychpowstać.

V

Urządzenie mieszkań.

Co mnie nadzwyczajnie dziwiło po przybyciu mojem do Hawany, to obojętność co do urządzenia mieszkań. Wprawdzie większa część mieszkańców przebywa tam jedynie czasowo—tyle tylko by zebrać kapitał, który wyda się gdzieindziej — zatem jest to raczej koczowanie, niż stały pobyt. Z wyjątkiem jakichś może dwudziestu domów, jak naprzykład, hrabiów Aldama Delmont'ów, hrabiów Fernandina i Santovenia, które są już pałacami, tak znów wspaniałemi, że nie można równać z niemi wszystkich najpiękniejszych prywatnych gmachów, we wszystkich innych spotkasz się zawsze z jednem i temsamem urządzeniem. A jakże się różnią te puste, obszerne pokoje od naszych europejskich salonów, które objawiają odrazu upodobania, skłonności i charakter gospodarzy. Mówią mi: klimat tego wymaga!

Zamiast naszych miękkich, wesoło uderzających wzrok dywanów, widzisz gładką, betonową posadzkę z mieszaniny piasku i wapna. Zamiast barwnych naszych obić, a na nich cennych obrazów, lub pułeczek, na których rozstawione są ładne, artystyczne cacka, tam mury biało bielone, obrzeżone kwiecistym szlakiem, malowanym przez patrony. Zamiast stiukowych sufitów z kryształowym pośrodku pająkiem,—proste, pospolite belki, ociosane przez cieślę, pomalowane przez mularza. Zamiast naszych miękkich, wygodnych różnokształtnych siedzeń, wszędzie jednakowe bambusowe krzesła, ławki i fotele na biegunach. Nasze lampy i świece, których światło tęczowemi barwami odbywa się w kryształowych zastawach stołów tam zastępuje wszędzie gaz, oświecający jednakowo sklep i salon. Jest fortepian, ale wystawiony na wszelkie przeciągi powietrza, brzęczący i skrzypiący, gdy go się dotknąć.

Ludzie są tu niedbali i leniwi. Mają złoto i marmur pod stopami, lasy pełne są najcenniejszych drzew, kwitną tu najcudniejsze kwiaty. Wyniosłe palmy, cudnie splątane rośliny, układ liści, świetne a harmonijnie dobrane barwy, wszystko to służyć im może za przykład; ale może być, że klimat tutejszy denerwuje i odbiera energią, jakiej łatwo dochować w sobie nam, dzieciom Europy.

VI.

Sereno.

Skoro tylko dzień się kończy, *sereno* podobny do nocnej mary, ująwszy pikę, która nigdy nie skrzywdziła nikogo, wychodzi ze swojej skrytki i staje na zwykłem stanowisku przy rogu jakiejś ulicy, z zapaloną latarką w ręku, rzucającą na bruk krąg bladego światła. O godzinie ósmej miasto oświetlone, ruch, gwar panuje na ulicach. *Sereno* więc uważa je za spokojne i bezpieczne; przechadza się też od okna do okna krokiem nierównym, zapuszczając badawczy wzrok w głąb' mieszkań. Zatrzymuje się przed bramami, badając zręcznie Murzynów o stosunki państwa.

— Cóż? dużo u was roboty?

— Och, aż zanadto! Służby tylko ośmioro a państwa troje i koń do obsługi.

— Państwo dobrzy?

— Seniora trochę popędliwa. Ach! biedny ja! serce jej twardsze od ramion moich.

— Ii!... wszyscy wy jednakowi: leniwcy i lubiący się pieścić. Widziałem ja, jak to dawniej obchodzono się z Murzynami. Żeby cię raz kto tak grzmotnął, to już wyciągnąłbyś się jak długi.

— Niewiadomo!—odpiera Czarny z pewną dumą.—To już taki zwyczaj, żeby zawsze mówić o dawnych czasach.

Sereno przechodzi do następnej bramy domu, gdzie mieszka człowiek znany z pojęć wolnomyślnych, i zaczyna podobną pogawędkę z młodym niewolnikiem, który, nucąc wyjątki z jakiegoś kadryla, czy andaluzyjską *rondenas*, czyści zapamiętale bronzy wolantu.

— Cóż u was nowego?—zapytuje sereno.

— Pan wyjeżdża.

— Do Europy?

— Nie... do Filadelfii.

— A goście zawsze cisami przychodzą?

— Zawsze cisami.

— Ci, którzy piszą do dzienników, do *Siglo*?

— Nie widziałem nigdy, żeby co pisali.

— Ale was Czarnych kochają?

— Poszturgują czasami, lecz dużo o nas mówią. Chcą, żeby nam wolność zwrócono.

— Zwrócono... bardzo pięknie! Ale czy ty byłeś kiedy wolnym?

— Nie, senor.

— No, to jakże chcesz, żeby ci zwrócono to, czego ci nigdy nie zabierano?

— Wszystko jedno! Zawsze dobrze byłoby być wolnym.

— I cóż uczyniłbyś, naprzykład, będąc wolnym?

— Co?... sprzedałbym się.

Ta odpowiedź zbija na chwilę z tropu ciekawego członka policyi; dostojnik wzrusza ramionami i wędruje dalej.

Od zachodu słońca aż do wpół do jedenastej *sereno* krąży ciągle, zwracając się przezornie na prawo, jeżeli usłyszy wrzawę jakąkolwiek nalewo, i odwrotnie. Jednakże pomimo najusilniejszych starań niezawsze udaje mu się zachować miły spokój swego spaceru.

Naprzykład, pijak jakiś dobija się zapamiętale do drzwi zamkniętych. Młotek nie przestaje huczeć, wybijając to wściekłe tremolo, to dzikie tempa, czemu towarzyszą najstraszniejsze klątwy. Właściciel domu siedzi cicho i przez furtkę z drugiej strony podwórza posyła po policyanta. Zjawia się *sereno*, wygląda zapalczywie, niby Orest, gwałtowny jak Ajax, groźny—niczem Jowisz!

— Hej! ty gałganie! *Barracho de demonio*! Co ty wyprawiasz? Wynoś się ztąd co prędzej, lub będziesz miał ze mną do czynienia!

I sereno potrząsa razem halebardą i latarnią. Pijak znający dobrze zwyczaje miejscowe, odpowiada, iż nie lęka się wcale tego, czem mu grożą, i że ani myśli odejść.

— Tak—krzyczy w ostatniej passyi policyant.— Nie pójdziesz!... Poczekaj, zobaczymy czy nie pójdziesz?

Przewraca krwawe oczy, potrząsa piką i latarnią, jak, żeby miał z niej wyrzucić pioruny, i klnąc najstraszliwiej, oddala się, aby zająć spokojnie miejsce na rogu innej ulicy.

Wybiło wpół do jedenastej: człowiek zmienia się w zegar, w zegar repetyer. Wyśpiewuje godziny głosem tak żałosnym, iż zapłakałbyś niewątpliwie, gdybyś nie wiedział o co idzie. Pół godziny i kwadranse wygwizduje z takiemi trylami, tak często, że mógłby wzbudzić zazdrość w muzykancie gwardyi narodowej. Maszyna ludzka dobrze nakręcona pełni obowiązek do rana, chyba, że biedaczysko snem zmorzony usiądzie pod bramą, a wówczas i smętny śpiew i utalentowane gwizdanie zastąpionem zostaje przez głośne chrapanie.

Sereno, dobra dusza, ma swoje rozliczne drobne dochodziki, prawne i nieprawne. Podróżnik daje mu piastra, aby o czwartej godzinie rano zastukał do jego okiennicy; mleczarz wsuwa mu także coś w rękę, prosząc o przypilnowanie wózka i towaru, gdy on sam, chodząc od bramy do bramy, budzi Murzynów, mających odbierać mleko; otacza opieką płeć piękną, zapóźnioną na ulicy, bywa rozjemcą w kłótniach wybuchających w kawiarniach, wyjmuje zręcznie nóż, pozostawiony w ranie, gdy mu się zdarzy podnieść człowieka przebitego. Im mniej dowodów w takich sprawach, tem śledztwa bywają dłuższe i zawilsze, a zresztą nie trzeba z nikim zadzierać, skoro się musi spędzać noce na ulicy. Oczerniają biedaka, że nawet gotów jest wypuścić chwytanego gorliwie złodzieja, jeżeli się pokaże, że łup wart podziału. Dość, że sereno, dobroduszny poczciwiec, umysł niepodległy, cieszy się szacunkiem biednych, przyjaźnią bogatych, a obawy w nikim nie wzbudza.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Warszawskie Towarzystwo Ogrodnicze** otrzymało przez zapis ś. p. Józefa Spornego, brakujący mu fundusz na założenie własnego ogrodu.

— **Galicyjskie Towarzystwo Pedagogiczne** odbyło doroczny walny zjazd nauczycieli ludowych w Rzeszowie. Sprawozdanie z czynności rocznych wykazało, że przybyły Towarzystwu 3 oddziały i 36 kółek pedagogicznych; ma ono 2.000 członków, utrzymuje 7 szkół przemysłowych dopełniających, w których było 1.082 uczniów. Czasopismo Towarzystwa: *Szkoła* obejmuje rocznie 12 arkuszy druku. Przytem wydano 211 dzieł różnorodnej treści.

Polskie Towarzystwo przemysłowców w Poznaniu otwiera d. 8 Grudnia r. b. wystawę prac terminatorskich i robót kobiecych. Dla terminatorów wyznaczono nagród 8 od 25 do 75 marek; dla robót kobiecych trzy, od 20 do 50 marek.

— **Nowe polskie Towarzystwo Przemysłowców** zawiązało się w Grudziądzu.

— **Utalentowany sztycharz** Felix Jasiński, pracujący do krakowskiego *Świata*, został stałym współpracownikiem francuzkiego czasopisma: „Gazette de Beaux Arts.“ Aquaforty naszego ziomka zwracają uwagę kół artystycznych Paryża.

— **Oznaki honorowe** zostały przyznane w Paryżu ziomkom naszym: Adam Sienkiewicz, poseł francuzki w Japonii i Wałecki prof. matematyki w liceum Condorcet'a otrzymali Krzyże Legii Honorowej. Stanisławowi Leszczyńskiemu, także professorowi liceum, przyznano palmę akademicką z mianem „officier de l'instruction publique.“

— **Śpiewaczka francuzka** M-me Derosé, uważając, że sztuka, a może pieniądz, który chowa się do kieszeni, są to rzeczy międzynarodowe, śpiewała tej wiosny w teatrze Opery Berlińskiej i zachwycała tam publiczność. Przecież nie mogła już uczynić tegosamego w Paryżu, bo po powrocie tam nie znalazła się żadna taka scena francuzka, gdzieby produkować mogła swój talent. Próżno ofiarowała na cel dobroczynny 1.500 fr.: uznano, że to jest rzecz bardzo chwalecna, ale słuchać jej nie chciano.

— **Połączenie telefonowe Paryża z Bruxellą**, w celu przedstawiania w tem ostatniem mieście oper śpiewanych w Paryżu podczas wystawy agituje się obecnie. Bruxelska Akademia Nauk chce wznieść dla tego osobny pawilon telefoniczny. W Paryżu już się odbywały takie przedstawienia oper przez telefon, który w czasie wystawy elektryczności łączył Pałac Przemysłu z Wielką Operą.

— **Uczony astronom i naturalista** belgijski, niegdyś dyrektor Obserwatoryum Bruxelskiego, Houzeau, umarł, zostawiając przygotowane do druku rękopisma w przedmiotach astronomicznych. Od lat kilkudziesięciu obserwował on Marsa, którego nazywał „bratem Ziemi.“

— **Nowa podmorska linia telegraficzna** położoną zostanie pomiędzy: Vancouver, Hawai, wyspami Fanning i Fidży, Nową Zelandyą i Australią. Całkowita długość liny, będzie wynosić 12.000 kilometrów, przecież najdłuższa przestrzeń bez przerwy nie przeniesie 3.000 kilometrów.

— **W Monachium** otworzoną będzie wkrótce, dawno zapowiadana, przez dwóch malarzy tamtejszych: Alexandra Wagnera i Bühlmanna wykonana panorama, przedstawiająca Rzym za czasów Konstantyna. Na tem tle, oddanem możliwie najwierniej i pracowicie według starych pomników i opisów, przedstawiony będzie tryumfalny pochód cesarza i powitanie go przez senat u stóp Kapitolu.

— **W Paryżu** zawiązało się nowe towarzystwo drukarsko-dziennikarskie, które wydawać będzie dwanaście dzienników.

— **Kwestya podziału Afryki** między państwa europejskie nabiera coraz więcej znaczenia. Urzędnik ministeryum belgijskiego Bannin, napisał i wydał świeżo dzieło: „Le partage de l'Afrique d'après les transactions internationales les plus récentes.“ Niéma już zatem na świecie żadnego kawałka ziemi bezpańskiej.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem ponownie ogłasza niniejszem, iż w miesiącu Październiku r. b. urządzona będzie w lokalu Towarzystwa Wystawa konkursowa dzieł sztuki *Ornamentacyjnej i dekoracyjnej*, a mianowicie: miniatur, emalii, malowania na szkle, porcelanie i fajansie, sztychów i akwafort, drzeworytów, litografii i wszelkich reprodukcyi ręcznych, niemniej wszelkiego rodzaju ornamentacyi. Przyjmowanie deklaracyi do d. 1 Października; nadsyłanie przedmiotów do d. 10 Października; otwarcie wystawy d. 15 Października. Komitet wyznaczył dla tej wystawy sześć nagród pieniężnych, z których trzy po 100 rubli i trzy po 50 rubli, za dzieła bezwarunkowo odznaczające się. Oprócz tego wydawane będą Listy pochwalne.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 18-ty powieści pod tytułem: **Wybór Aliny**, przez Mrs Alexander.

TREŚĆ: Ze spuścizny olbrzyma. przez Miriam'a—Wychowanie moralne, (dokończenie), przez Waldemara Osterloffa.—Na Krasnym Dworze, (dalszy ciąg), powieść historyczna, przez Fr. Rawitę.— Nowiny paryzkie, (dokończenie).— Przegląd piśmienniczy,—W Antyllach, podróże, (dalszy ciąg), przez Quatrelles'a. — Z bieżącej chwili. — Ogłoszenie.

Dodatek obejmuje: Arkusz 18-ty powieści pod tytułem: Wybór Aliny, przez Mrs. Alexander. —Przegląd mód. — 48 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa.—Druk i Litografija S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою—Варшава 10 Августа 1888 года.